

Widz też chce mieć głos

25

Na marginesie prapremiery „komediodramy” Norwida — „Aktora” drukowaliśmy już na łamach „Dziennika Bałtyckiego” naszą recenzję pisa ją red. Marka Duleby. W niniejszym artykule ponownie powracamy do tego tematu w innej wersji. Chcemy w ten sposób dać wyraz niekierpowania dyskusji, do której zapraszamy czytelników.

RED.

OBEJMUJĄC 1. X. 1958 r. kierownictwo artystyczne teatru „Wybrzeże” dyr. Hübner stanął przed niełatwym zadaniem. Widz był zrażony do beznadziejnej nudy, zniechęcał do niedawna ze sceny i zaczął zapępiać hałę sportową na organizowanych przez Teatr Powszechny szmirnowatych składankach oraz coraz bardziej psuł sobie smak, uczęszczając na operetkę. Toteż do teatru wracał ostrożnie, z namysłem. Ale wracał.

Wiele pouczających spostrzeżeń można poczynić, przeglądając statystykę biletów, sprzedanych na poszczególne sztuki. (Dane posiadam za czas od 1. X. 58 do 1. X. 59). Pierwsza wystawiona za nowej dyrekcji sztuka „Nie będzie wojny trojańskiej” powtarzano 31 razy przy przeciętnej frekwencji 233 osób na przedstawieniu. Następna sztuka — „Niezastąpiony Craghton” doczekała się 34 powtórzeń, przy czym frekwencja wzrosła do 272 osób. „Pokromienie słonicy” grano aż 46 razy przy przeciętnej 312 osób, rewelacja sezonu „Zbrodnia i kara” utrzymywała się na scenie przez 36 wieczorów dając średnią 317 osób. „Kapelusz pełen deszczu” grano 39 razy przy przeciętnej 479 widzów, zaś „Kordiana” 36 razy przy średniej frekwencji 520 osób.

Linia wstępująca jest zupełnie wyraźna. Dyr. Hübner mozolnie, ale konsekwentnie przywracał zaufa-

nie widza do teatru. Jego konta nie obciąża to, że przejęta po poprzednim sezonie sztuka „Słońce krąży dokoła ziemi” grano przy przeciętnej wynoszącej za ledwie 172 osoby, ale że „Sierpniowa niedziela” gromadziła przeciętnie 188 widzów, a „Maszyna do liczenia” nawet 130 — to są niłusy, które musimy postawić przy wysokim stopniu, na jaki u nas zasłużył swoją działalnością.

OSTATNIO w Gdyni odbyła się premiera (prapremiery) „komediodramy” Norwida „Aktor”. Sztuka, napisana przed stu niemal laty, nie była dotychczas nigdy grana. Żaden dyrektor teatru w ciągu stu niemal lat nie podjął się ryzyka wystawienia na scenie utworu tak niescenicznego i tak trudnego do zrozumienia. A przecież niejedna „niezrozumiała” sztuka ukazała się na scenie. Widocznie tu ryzyko było jeszcze większe, niż przy tamtych, jeszcze mniejsza szansa uzyskania jakiegokolwiek minimalnego efektu.

Czyżby „Aktora” niesłusznie zapoznano? I czy chodziło tylko o znalezienie jej odkrywcę? Gdyby tak było, to kto powinien ją odkryć? Wydaje mi się, że powołane są do tego teatry. A raczej powołany do tego teatr. Ale koniecznie w stolicy. Jeden z kilkunastu tam istniejących. Niewielki kameralny teatr eksperymentalny. Przeznaczony dla niewielkiego grona uczonych norwidologów, lub smakoszy literat-

kich, których w stolicy jest z pewnością niezliczenie więcej, niż w pozabawionym uniwersytetu Gdańsku.

Na premierze zgromadzona była publiczność „premierowa”, a więc bardziej z teatrem obywatela, niż przeciętny mieszkaniec Wybrzeża. A trzeba było posłuchać rozmów kulturalowych. Dostawnie nikt z zapytanych przez mnie osób nie mógł stwierdzić, że rozumie o co chodzi, że sztukę „przeżył” lub odniósł jakieś wrażenie artystyczne. Owszem, podziwiał grę aktorów, chociaż nie bardzo się orientował w tym co mówią, podziwiał olbrzymi wkład ich pracy i współczuł im, bo przykre jest widzieć, jak ciężka praca nie przynosi owoców.

W pewnym momencie zadawałem sobie pytanie: co by było, gdybyśmy zapelnili wirownie paru setkami stoczniowców? Czy zachęciłaby ich do chodzenia do teatru? Sądzę raczej, że skutek byłby przeciwny. Przedstawienie to wzmógłoby frekwencję na operetce i „składankach”. A teatrowi „Wybrzeże” nie o to chyba chodzi!

Słabą pociechą jest, że na premierę sprzedano niewiele więcej ponad 100 biletów, więc niewiele osób przedstawiło od uczęszczania do teatru odstraszy. Ale spróbujmy jakoś zbilansować aktywa i pasywa tej imprezy. Po stronie ma widzimy — magiczne słówko „prapremiera”, świadczące o odwadze kierownictwa i tyle tylko. Po stronie winien zmarłowany wielki wysiłek reżysera i całego zespołu, zniechęcenie widzów do teatru i... dziurę w repertuarze. Bo skoro sztukę wystawiano — trzeba ją grać choćby przy pustej widowni, bo innej w tym czasie przygotować nie można by-

BYŁ w swoim czasie taki zapomniany dziś zwyczaj, że po premierze odbywała się bezpośrednio dyskusja. Dawało to dobre rezultaty. Może by tę praktykę wznowić? Nie wiem dokładnie czyja wola decyduje o wyborze tej czy innej sztuki dla teatru „Wybrzeża” — jednoosobowa dyrektora, czy zbiorowa rada artystycznej? Nie wiem również, czy taka rada jeszcze istnieje, bo wiem, że w swoim czasie istniała. Czy nie byłoby celowe reaktywowanie jej?

Rzucam tych kilka myśli nie jako krytyk teatralny, bo krytyką się nigdy zawodowo nie paralem, ale jako widz, uczęszczający chętnie do teatru i jako człowiek, któremu zależy na tym, aby te przeżycia, których mu teatr dostarczał, stały się udziałem jak największej ilości ludzi.

A działalność dyrektora Hübnera na stanowisku kierownika artystycznego teatru „Wybrzeże” oceniam bardzo wysoko. Jak już powiedziałem, postawiłem mu wysoką notę z minusami. Chciałbym te minusy jak najszybciej przekreślić pionową kreską. Byłaby plątką z plusami. Stopień, który jak wiadomo, w normalnej szkole można uzyskać tylko na lekcji religii. U nas u księdza, w innych szkołach od popa, czy pastora. Byłoby to pierwszy wypadek przedstawienia takiej noty przez osobę jak najdalejszą od problemów teologicznych.

Władysław Mergel

ASUS „Aktora” jest niepokojący z innego jeszcze powodu. Wyraźnie mi się wydaje, że świadczy on o wypaczonego rozumieniu zadań teatru na Wybrzeżu. Chodzi o to, aby kragdzi, dla których teatr stał się potrzebą dnia powszedniego, rozszerzał się, a nie zwał. Trzeba więc awać sztuki — dobre bez tryfy ulgowej! — które t publiczność dla teatru są wanie zwerbować. I tu wyka kwestia podstawowa — ogadnienie repertuaru.

Czyżby naprawdę był taki brak repertuaru klasycznego, że trzeba było sięgnąć po „Aktora”? Czyżby aktorów (przez małe a) nie byłoby dużą satysfakcją, dla widzów dużym przeżyciem zobaczenie sztuk Zamojskiej, Perzyńskiego, Rittlera, Baluckiego? Czyżby nasz widz nie poszedł tłumnie na Moliere tak jak tłumnie szedł na Szekspira, jak tłumnie szedł na „Balladynę”, czy „Cyrylika sewilskiego”? Czy sztuki Iwaszkiewicza nie zrobiłyby lepszej roboty, niż „Dominiak”? Oczywiście jest to sprawa dyskusyjna. I o to właśnie chodzi, że widz chciałby również wziąć udział w tej